Rozmaitości

Dnia 1. Maja N^er. 18. Roku 1841.

DZIEDZICE PRZEKLĘCTWA.

Dla czegoż ojców dwójny grzech i wina,
I nas niewinnych śród swojego jadu
Okręca krwawo jak ów splot dwu-gadu!
Szyller.

(Dokończenie.)

Nazajutrz pod wieczór przechadzał się Antonio niespokojnie po komnacie, w któréj *Can Signorio* przed laty życie zakończył. Była ona dotychczas w tymże samym stanie: adamaszkowy pawilon stał jeszcze na swojem dawnem miejscu, wszystkie ozdoby były też same, tylko drzwi wiodące do katowni zamurowano; lecz za to stały na oścież drzwi od kurytarza, którym się do samotnej komnaty Mastina pierwszego wchodziło. Książę Antonio był miotany jakowąś ważną troską, to się zatrzymywał to nadsłuchywał, zdawał się kogoś niecierpliwie oczekiwać. Wkrótce dał się słyszeć krok pospieszny; drzwi się rozwarły, a Leone Leoni wszedł do pokoju.

»Jakąż mi przynosisz wiadomość? Powiédz coprędzéj; widzisz, że jak na żarzących węglach stoję!« rzekł Antonio.

»Najniepomyślniejszą!« odrzekł rycerz posępnie. »Ztém wszystkiém możnaby wiadomość tę nazwać pomyślną, gdyby Waszą książęcą Mość do stanowczego działania spowodowała.«

»Kazałżeś uwięzić czarownicę?—Czy wyznała?« zapytał książę z pośpiechem.

»Toż Wasza książęca Mość jeszcze nie wiesz — lecz prawda, wszak ja sam niedawno co się dowiedziałem«; odrzekł Leoni. »Wczoraj w wieczór, nim się jeszcze bal skończył, z dymem poszła jéj chata, ona zaś zniknęła. Jak się domyślać należy, że dla zatarcia swéj sprawki, albo też może przez zemstę, dla zniszczenia willi Nogarelego, sama swe gniazdo podpaliła.«

»Przeklęcie! Nic się nie wiedzie!« zawołał książe.

»Do ukończenia walki, która się rozpoczęła, słabe środki nic nie pomogą!« rzekł Leoni stanowczo. »Albo Wasza książęca Mość albo Bartholomeo, tu wyboru niema! I tenże był już czynniejszy, bo zaprosił na dzień jutrzejszy czoło szlachty i wszystkich podestów miast na wielkie zgromadzenie do domu Bevilaquy; o co tam chodzić będzie, łatwo się Wasza książęca Mość domyślić możesz.«

»Zginąłem!« zawołał Antonio struchlały, założywszy w krzyż ręce.

»Jeszcze nie, i owszem, Wasza książęca Mość będziesz sam tylko Werony panem, jeżeli mnie działać pozwolisz!« rzekł Leoni ująwszy księcia za rękę.

»Powiédz, co mam czynić?«

»Daj mi książę zupełną władzę, niech mi wolno będzie czynić, co za konieczne uznam. Twoim nieprzyjacielem Bartholomeo, dość na tém, a zresztą spuść się na mnie!« rzekł Leoni zmarszczywszy czoło.

W czasie gdy rycerz to mówił, wszczął się przed zamkiem krzyk głośny. Obadwaj przystąpili do okna dla zobaczenia, co się dzieje.

»To Bartholomeo!« rzekł książę z goryczą. »Jedzie przez most, lud okrywa go radośnémi okrzyki.—Co za obłudnik! Jak on uprzejmość udawać umié! — Tam rzuca pieniądz w jałmużnę ubogiemu. — Jako? I moja gwardyja

niemiecka? Patrz, jak w cześć jego halabardy spuszcza ku ziemi — a jak on łaskawie dziękuje! Już się ma za jedynego władcę Werony.«

»I będzie nim niezawodnie, nim słońce po raz drugi zajdzie!« rzekł rycérz z krwią zimną.

»Nie będzie nim!« zawołał Antonio drżący od gniewu.

»Któż mu w tém przeszkodzi?« odrzekł rycérz dobitnie. »Jeszcze raz, dla twojego własnego dobra, zaklinam cię książę, nie zwlékaj, daj mi zupełną władzę.«

»Niech i tak będzie, daję ci ją, czyń, czego już odmienić nie można!« rzekł Antonio z odwróconą twarzą.

»A kiedy się stanie, co stać się koniecznie musi — przyrzekaszże książę być mi obrońcą?« zapytał przytłumionym głosem.

»Przyrzekam!« odrzekł Antonio zaledwie dosłyszalnie.

»Nawet i wtedy, gdybym ostatecznych środków chwycić się musiał?« zapytał rycérz.

»Nawet i wtedy!«

Téjże samej chwili, gdy Antonio tych słów domawiał, rozległ się straszny huk po komnacie Mastina piérwszego. Zdawało się, jak gdyby cały gmach w swoich węgłach się zatrząsł i w gruzy się zwalił. Antonio wrzasnąwszy przeraźliwym głosem, wskazał drżącym palcem w kurytarz. Leoni dobywszy czémprędzéj oręża, pospieszył na wskazane miejsce. Po kilku chwilach znowu powrócił.

»Przyjdź do siebie książę!« rzekł do wylęknionego, wsuwając spokojnie oręż do pochwy. »Stara powała w komnacie Mastina oberwała się.«

»Ależ owa postać, którą ujrzałem?« rzekł drżącym głosem struchlały książę.

»Nic innego jak tylko złudzenie zmysłów«; odrzekł rycérz. »Niémasz nikogo w komnacie. — A teraz pozwolisz książę, że się oddalę, nié ma czasu do stracenia; niebezpieczeństwo groźne, konieczność wzywa, już się chwiać nie można!«

To rzekłszy, wyszedł spieszno z pokoju.

»Twojażto była przestroga Mastinie, albo też twoja nieszczęśliwy — najnieszczęśliwszych synów ojcze!« rzekł z wzdrygnieniem Antonio, i zachwianym krokiem wyszedł za rycerzem.

Nazajutrz, nim jeszcze z po-za *Monte-Baldo* słońce wzejszło, już w całym mieście Werony panował ruch nadzwyczajny. W dzielnicach: *Piazza urbe, Piazza Bra* i w *Strada Bursari*, szczególniéj zaś w pobliżu pałacu wrzała wielka ciżba ludu. Jeźdcy gonili spieszno po ulicach, i zdawali się mieć pilne rozkazy, gdyż spotkawszy się z jakim znajomym, który chciał się dowiedziéć, co to wszystko ma znaczyć, tylko mu ręką skinęli. Paskał z Weronety i kum jego Gioachimo, których już znamy, stali także ciekawie przed pałacem, a w braku pewnych wiadomości, gubili się w różnych domysłach.

»*Corpo di Bacco!*« rzekł Gioachimo zniecierpliwiony. »Jestem tak ciekawy, iż mało z skóry nie wyskoczę. Mam ja niemało znajomych w pałacu, ale dziś jak na złość nie widać z nich żadnego! Gdybym tylko przydybał mojego przyjaciela Christoforo, zarazbym wiedział o co chodzi; bo ten przedemną nic nie utai.«

»Powiédz raczéj przed twoją żoną!« ozwał się Paskal z szyderskim uśmiéchem. »Ale że mimo twoich związków z dworem, nie wiész, co dziś w nocy zaszło w pałacu, z tąd tylko pochodzi, żeś wczoraj wieczór zawcześnie przybył z *Desenzano* z jarmarku. Gdybyś był dziś dopiéro rano powrócił, wiedziałbyś o wszystkiém niezawodnie.«

»Ale patrzno, patrz!« odrzekł czapkarz, »tam jedzie rotmistrz gwardyi księcia, jestto Niemiec, flegmatyk, którego zapytać można; ja go znam dobrze, gdyż mu raz czapkę przerabiałem. — A, otóż nasz *Signor* Federigo, czy Carlo, czy Ingelramo, jeżeli się nie mylę! Czy i wy także *Signore* na placu? Bo i prawda, panowie Niemcy muszą zawsze i wszędzie być piérwszymi, gdy się co zdarzy, a dziś zdaje się, że się coś ważnego zdarzyło. Nie prawdaż, że zgadłem? — Albóż może nie?«

Rotmistrz na to powitanie zatrzymał konia, i zmierzył swego znajomego częścią pochmurnym, częścią pogardzającym wzrokiem.

»Mości czapkarzu«, rzekł ponuro, »chcesz wiedziéć co się stało? Zaczekajże chwilkę, a wkrótce się dowiész. Tego tylko bądź pewny, że gdybym to nieszczęście, które się

stało, mógł odwrócić, chętniebym dwudziestu takich jak ty, w Adydze kazał utopić.« To rzekłszy odjechał.

Bardzoby się mylił, ktoby mniemał, że ta grubijańska mowa rotmistrza, jakie nieprzyjemne wrażenie na czapkarzu sprawiła; i owszém z tryjumfującą miną rzekł on do swego kuma:

»A cóż, nie mówiłem, iż się od Niemca czegoś dowiémy. Że się nieszczęście wydarzyło, to nam już powiedział *asino ferino tedesco!* a jeżeli nam święty Zenon raczy jeszcze przysłać takiego drugiego barana, dowiémy się, co to za nieszczęście! — Ale patrz! Nie idzież tam Christoforo? — A to wyśmienicie! Teraz o wszystkiem się dowiémy!« —

Gdy to wyrzekł, młody, smukły Niemiec w barwie księcia, zbliżywszy się do Gioachima, wziął go poufale za rękę i rzekł:

»Co ja widzę, jużeś tak rano z łóżka się zerwał?«

»Bo radbym wiedział mój zacny przyjacielu, co się tam w pałacu wydarzyło; że tam jakieś jest nieszczęście, o tém właśnie oznajmił mi jak najuprzejmiéj zacny rotmistrz Ingelramo.«

»Toż jeszcze o tém nie wiesz?« rzekł Christoforo. »No, słuchajże! — Dzisiaj z północy, straż objéżdzająca przedmieścia, znalazła księcia Bartholomea i ulubieńca jego, Galvano de Fogliano. zabitych przed bramą *Nobila Nogareli.* Obadwaj mieli miecze w piersiach utkwione. Tajemne wieści głoszą — a pewien przyjaciel powiedział mi, iż słyszał jak rycerz Leone Leoni niektórym z szlachty opowiadał, że córka Nogarelego miała już dawno z księciem Bartholomejem związki miłosne, tymczasem Galvano umiał się jéj podobać; książę zaś mając już od niejakiego czasu niejakie w tym względzie podejrzenie, dla przekonania się, zasiadł na niego, a gdy spostrzegł, że Galvano wykradał się przez okno z jéj pokoju, napadł nań z orężem w ręku. Po krótkim pojedynku padli obaj na miejscu.«

»A to rzecz osobliwsza! — Smutna! — Okropna!« zawołał czapkarz, chociaż na twarzy jego ani smutku, ani przestrachu nie było widać. »A co, kumie Paskalu, nie mówiłem ci przed kilką tygodniami na tym tu placu, że straszne przekleństwo na domie *della Scala* cięży? I tak też się dzieje. Albo się sami zabijają, albo też kto inny ich zabija. Trudno zgadnąć, kto jest sprawcą śmierci Bartholomea — był on z nich wszystkich najmilszym dla mnie — miał prawdziwie postać książęcą, do czego nowy baret, który niedawno mu zrobiłem, niemało się przyczyniał. Słychać, iż bracia w ostatnim czasie nie bardzo z sobą żyli w zgodzie.«

»Panie czapkarzu!« przerwał Paskal z przestrachem. »Kumie! Przyjacielu! Co też ty za androny pleciesz!«

»A to znowu co ma znaczyć?« ozwał się Gioachimo, nie zważając na to; »wszakto cała *Signoria* w paradzie, a Bevilaqua i Pellegrini na czele! Udają się do pałacu. — Aha, wiém po co i co to znaczy! Spieszą z oświadczeniem uroczystego żalu. No, no, książę Antonio da się łatwo w swoim smutku ukoić.«

»Bądź zdrów!« rzekł Christoforo, »ja muszę spieszyć na moje stanowisko.«

W czasie gdy Gioachimo spiesznym krokiem ruszył do swojego kramiku, a Paskal jeszcze cokolwiek swoje *dolce far niente* odbywał, weszło przeszło sto osób szlachty werońskiéj do posłuchalnéj sali księcia. Wszystka szlachta była w grubéj żałobie. Sam książę był czarno ubrany i wyglądał blado i zamyślono. Prócz rycérza Leoni nie było nikogo przy boku księcia.

»Prosiliście o posłuchanie *Signori*«, rzekł Antonio słabym, drżącym głosem, »i spodziéwam się, że szlachta Werony weźmie to za dowód mojéj łaski, iż w chwili, w któréj jeszcze smutnym wypadkiem ostatniéj nocy zmartwiony jestem, nie wzbroniłem jéj do siebie wstępu. Przybyliście zapewne oświadczyć mi swoje żałość i ubolewanie.«

Skoro książę wyrzekł te słowa, wystąpił Bevilaqua.

»Tak jest, łaskawy panie«, rzekł wlepiwszy mocno wzrok w księcia. »Szlachta Werońska przybyła dla okazania władcy swemu najszczérszego ubolewania z powodu śmierci jego brata a od ludu ukochanego pana; lecz wykonawszy ten smutny obowiązek, poczytuje sobie za powinność wezwać go do zemsty i ukarania zbrodni, któréj się na księciu Bartholomeo dopuszczono.«

»Zbrodni? — Nie rozumiém cię rycérzu«; odrzekł Antonio, a lice jego okryła bladość śmiertelna.

»Książę Bartholomeo i rycérz Galvano nie padli w pojedynku, lecz są zamordowani, takie jest zdanie całego miasta i naszel« rzekł Bevilaqua krótko i stale.

»Mocno żałuję, że ci się sprzeciwić muszę«, odrzekł Antonio wzruszając ramionami, jednakże z większą spokojnością niż przedtém. »Brat mój, jak wam dobrze wiadomo — powziął był od dawna przywiązanie do córki *Nobila* Nogareli; zdaje się, iż dama nie była mu wzajemną, gdyż z rycerzem Galvano zostawała w związkach miłosnych. Ten ostatni taił to przed swoim panem; nieprzezorni zausznicy donieśli mu o tém tajemnie; chciał się o tém sam przekonać, i tym sposobem cały ten smutny wypadek się wydarzył.«

»Żal mi«, ozwał się Bevilaqua, gdy książę skończył, »iż jestem przymuszony oświadczyć, że to wszystko, co Wasza książęca Mość mówiłeś, jest bezzasadne.«

»Ha, co mówisz? Z kąd ci ta śmiałość?« obruszył się książę.

»Ja tylko to mówię, co wkrótce w całym kraju i za granicą powtórzą!« odrzekł Bevilaqua z krwią zimną. — »Na ten raz szlachta Werońska domaga się ścisłego śledztwa śmierci twego brata i rycérza Galvano de Fogliano.«

»Przeciw komuż ma być przedsięwzięte to śledztwo? Straż nocna znalazła zabite ciała, nie schwytano na uczynku nikogo!« rzekł Antonio z pozorną obojętnością. »Przeciw komuż?«

»Przeciw temu oto!« rzekł Bevilaqua wskazując na rycérza Leoni. »*Nobile* Malaspina, chciéj wystąpić, i powiédz coś widział przeszłéj nocy, gdyś w pobliżu pałacu przechodził?«

»Przeszłéj nocy wracałem z zabawy z moim bratem do domu«, rzekł młody Malaspina. »Jasny księżyc świecił na niebie, a my właśnie stanęliśmy w cieniu, który słup rzucał przed pałacem, gdy się od wschodniéj strony boczne drzwi jego odemknęły. Cztérech ludzi, po dwóch razem, niosło w ciemnych płachtach dwa owinięte podłużne ciężary, a piąty szedł za nimi z tyłu. Gdy się tenże na dwadzieścia kroków do nas zbliżył, spostrzegłem, że mu coś z pod płaszcza na ziemię upadło. Byłato szarfa, którą podniosłem, i którą — oto przynoszę — ma ona barwę rycérza Leoni, którego pomimo to, że był równie jak i drudzy zamaskowany, zaraz z postaci poznałem.«

»Zaiste, piękna bajeczka!« rzekł Leoni uśmiéchnąwszy się spokojnie. »Szczęściem, iż całéj Weronie wiadome, że Malaspina, który ją opowiada, jest moim nieprzyjacielem. Jego książęca Mość, jeżeliby tego potrzeba było, mógłby sam zaświadczyć, że właśnie w owym czasie przy nim byłem.«

W téjże chwili, gdy Leoni z szyderskim uśmiéchem swoje mowę skończył, powstał ruch w zgromadzeniu szlachty, a starzec w rycérskim ubiorze, z długą, siwą brodą; o kuli idąc, wystąpił na przód.

»Zaprzeczasz nikczemniku?« rzekł smutnym, grobowym głosem, wyciągnąwszy ku niemu wychudłe ramię. »A więc wzywam cię przed sąd Boży i oskarzam o zabójstwo na księciu Bartholomeo i na rycerzu Galvanim popełnione, oskarzam o zamysł otrucia mojéj córki Lukrecyi, prawéj małżonki zamordowanego księcia. Gdybym jeszcze w szrankach walczyć zdołał, dowiédłbym ci orężem, żeś jest ohydnym, szkaradnym złoczyńcą, ale że już nie mam sił po temu, więc razem z tobą zdaję się na sąd boży, wezmę w rękę rozpaloną szynę żelaza, albo razem z tobą stanę gołą nogą na rozpalonym lemieszu, a Bóg niech wyda wyrok i prawdę objawi!«

»Któż jest ten człowiek?« zapytał Antonio zdziwiony, spojrzawszy na starca. »Zapewne jakiś obłąkany, gdyż mówi o prawéj małżonce mojego brata.«

»Bynajmniéj!« odparł Bevilaqua. »Jestto *Nobile* Nogarela, a córka jego jest prawą wdową po księciu Bartholomeo. Brat twój książę bawiąc w Florencyi, gdzie Nogarela żył na wygnaniu, poznał się z nią i zawarł prawe śluby małżeńskie. Byłby ją zaraz po śmierci *Canu Signorio*, przed całym światem swą małżonką ogłosił, lecz testament ojca zakazujący mu wszelkie nierówne związki, stawał na przeszkodzie. Postanowił więc stale, skoro ty książę z swojéj małżonki następcę otrzymasz, ogłosić publicznie Lukrecyję swoją małżonką, a w przypadku, jeżelibyś na to zezwolić nie chciał, zrzéc się wszelkiego prawa do rządu, i oczekiwał z upragnieniem téj chwili. Lecz przekonawszy się, że małżonka jego nawet na pokojach książęcego pałacu bezpieczną nie była, odmienił swój zamysł. Dnia wczorajszego oświadczył mnie i zacnemu Pellegrini, że Lukrecyja Nogarela jest małżonką jego, i że wezwał na dziś wybór werońskiej szlachty, dla ogłoszenia publicznie swego związku. Lecz niestety skrytobójstwo zniweczyło ten zamysł.«

»Widzisz łaskawy książę«, rzekł ozięble Leoni, gdy Bevilaqua mówić przestał, »żem się w mojém zdaniu nie omylił, gdym cię zawiadomił o spisku przez część szlachty w skrytości knowanym, na którego czele — z ubolewaniem wyznać muszę, stał książę Bartholomeo. Wszystko było już jak najlepiéj przysposobione, książę Bartholomeo

z córką naczelnika malkontentów potajemnie zaślubiony, dama żali się na niebezpieczne prześladowania, małżeństwo miało być publicznie ogłoszoném, któż wié, może już jest i następca tronu, szlachta zgromadza się zniechęcona, lecz porywczość i zazdrość zrywa tak pięknie osnute niciwo. Księcia Bartholomea już nié ma, nic więc nie pozostaje, jak tylko pomścić się na wiernym słudze, który już dawno dla spiskowych był cierniem w oku. Lecz że ten zamach na niczém spełznie, za to ręczy mi mądrość Waszéj książęcéj Mości, u stóp którego składam mój oręż aż do załatwienia téj sprawy, i odtąd uważam się za uwięzionego.«

»Zatrzymaj swój oręż rycerzu Leoni, znam ja wierność twoje«; przerwał mu Antonio mowę podając rękę do ucałowania.

»Ha! cóżto ma znaczyć?« rzekł zdziwiony Bevilaqua. »Rozważ książę...«

»Jużem wszystko rozważył buntowniku«, odpowiedział Antonio, gniewem spłonąwszy.

»Takażto sprawiedliwość!« zawołał dziko Nogarola.

»Precz mi z tym obłąkanym«, krzyknął Antonio, uderzywszy nogą o ziemię. »Precz mi wszyscy z oczu moich!«

Szmer głuchy powstał w zgromadzeniu, a w jednéj chwili, prócz książęcia i rycérza Leone Leoni, nie było już nikogo w posłuchalnéj sali.

* * *

Działo się to w kilka miesięcy później; dészcz lał strumieniem, a wiatr wył dziko w wąwozach Apeninów, gdy podczas ciemnéj nocy szło dwóch mocno strudzonych wędrowców ścieżką, potokiem wód porozrywaną. Okolica była posępna i spustoszała, na milę nie widać było żadnéj włości, naokoło strzmiły same tylko głogi, pnie zkarłowaciałych drzew figowych, zwoje malin, ostrężyn i innych krzewów.

»Już daléj nogi mię nie uniosą Leone!« rzekł piérwszy z owych wędrowców. Byłto Antonio wraz z swoim polubieńcem.

»Jeszcze tylko kroków kilka łaskawy panie!« rzekł rycérz zachęcając i biorąc go pod ramię. »Widziałem migające się w dali światło; kilka tylko kroków jeszcze, a znajdziem' z pewnością pomieszkanie ludzkie.«

»I cóż mi to pomoże«, odrzekł Antonio zniechęcony; »gdzie są ludzie, tam się znajdą i nieprzyjaciele moi; któżby nie życzył sobie uzyskać nagrody wyznaczonéj na głowę moje.«

»Nie przeczę temu«; odrzekł Leoni oziebłe. »Lecz jeżeli takiemu człowiekowi przyrzeknie się większą nagrodę, posłuży nam chętnie za przewodnika aż w państwo papiezkie, do którego jeszcze kilka tylko mil mamy, a tam, najszczególniéj zaś w Rzymie, całkiem bezpiecznym będziesz panie.«

»Bezpiecznym! I nie więcéj, tylko bezpiecznym«, ozwał się książę tonem goryczy. »Leone, tyś nader smutnym pocieszycielem.«

»Sądzę«, rzekł rycérz z miną szyderczą, »że w téj chwili przede wszystkiém bezpieczeństwo osoby jest nam najpotrzebniejsze; w położeniu naszém nie należy nam za wiele wymagać od losu. — Ale jeżeli się nie mylę, tam na pochyłości góry, spostrzegam mieszkanie ludzkie.«

Tak téż było w saméj istocie. W jednym dość skrytym wąwozie, na spadzistości góry, stała licha, na pół opadła chata, którą wędrowcy jużby dawno byli spostrzegli, gdyby im noc i wielka ulewa na przeszkodzie nie były. W kilku chwilach stanęli przede drzwiami téjże chaty i zawołali, ażeby ich wpuszczono. Nie dano żadnéj odpowiedzi; aż gdy już drzwi wyważyć zamyślali, wtenczas im dopiéro otworzono. Wyszła naprzeciw nich jakaś zgarbiona stara niewiasta, która, jak się zdawało, dla słabości miała tak bardzo chustą obwiązaną głowę, iż przy blasku kaganka, który w ręku trzymała, tylko jéj iskrzące oczy i koniec nosa dostrzédz było można. Powitawszy wędrowców nieprzyjemnym mrukiem, zaprosiła ich do izby.

Byłato izba bardziéj do stajni niż do ludzkiego pomieszkania podobna. W jednym kącie było ognisko, na którém jeszcze tlił się chrust suchy; tuż przy niém stał kloc ociosany, miejsce stołu zastępujący, a w około niego cztéry drewniane stołki. W drugim kącie leżała miérzwa z liścia i porostu, jak się zdawało dla kilku ludzi nakształt pościeli rozesłana. Obok było cokolwiek wygodniejsze i kilką kocami przykryte łoże staréj gospodyni.

Skoro wędrowcy do izby weszli, zaraz gospodyni podniosła do góry lampę, a przypatrzywszy się gościom z uwagą, nagle ją na ziemię upuściła.

»Ach, San Giovanni i San Paulo!« zawołała z jękiem. »Jedno nieszczęście zawsze wiedzie i drugie za sobą! Kochani panowie, nie dość na tém, iż moi synowie biédni pastérze, podczas tak strasznéj burzy zostawili mnie samę jednę w domu, i siedzą sobie tam gdzieś na dole w szynku przy szklance *Montepulciano*, ale oto teraz nawet mi kaganek z ręki wypadł.«

»No, to ostatnie nieszczęście nie jest jeszcze tak wielkie«, odezwał się Leoni, wziąwszy od księcia kapelusz i płaszcz, i zawiesił je na kołku, aby woda z nich ściekła. »Nalejesz znowu do kaganka oliwy i zapalisz.«

»Ba, nalać łatwo, byłem tylko oliwę miała«, odrzekła stara. »Poczekaj, już my zaradzim temu.«

To rzekłszy nałożył wiązkę chrustu na węgle.

»O San Paulo, oczy moje! Człowieku okrutny!« rzekła stara, osłaniając sobie jeszcze bardziéj głowę chustą. »Ja nie mogę patrzyć na płomień, bo mi moje zbolałe oczy razi.«

Tymczasem płomień oświetlił izbę. Rycérz równie jak i towarzysz jego spojrzeli w około, i tuż przy łożu staréj, prócz kilku skrzyń, spostrzegli także miecze, ostrą włócznię i dwie strzelby. Na ten widok obadwaj stali zdumieni.

»Zapewne zadziwia was ta broń moi panowie!« rzekła stara, odwróciwszy głowę od ognia i przykucznąwszy na łóżku. »Jestto rzecz straszna, moi panowie! Nawet ubóstwo w téj okolicy musi mieć się na ostrożności. Synowie moi handlują czasami bydłem, a tak nawet kilka *lir* od łakomstwa bezpiecznémi nie są.«

»Kiedyż spodziéwasz się swoich synów z powrotem? Czy nie chcieliby oni wskazać nam drogi do Sieny?« zapytał rycérz.

»I owszém«, przerwała mu spieszno mowę stara. »Moi synowie życzyliby sobie bardzo jakowy grosz zarobić, a co z nich za przewodniki—nie będę ich chwalić, ale oni znają każdą ścieżkę w tych górach.«

»A kiedyż wrócą do domu?« zapytał rycérz.

»Gdy już dotychczas nie przyszli, więc przed świtem nie wrócą«—odrzekła stara.

»Jeżeli tak, więc nie będziemy na nich czekali, gdyż nim się dzień zrobi, już w papiezkiém państwie stanąć musimy.«

»Czegożto panowie tak bardzo się spieszycie?« zapytała stara. »Aha, domyślam się, zapewne macie jaką przyczynę do omijania publicznych gościńców. — No, niech i tak będzie, cóż mnie to obchodzi. — Nawet słusznie czynicie, jeżeli się wojska Medyjolańskiego obawiacie. Przed zachodem słońca przeprawiał się tędy przez góry cały oddział. Niektórzy z nich wstępowali po drodze do wszystkich włości z tém obwieszczeniem, że ktoby pojmał księcia Werony, za przystawienie go dziesięć tysięcy, a za jego towarzysza, pięć tysięcy *lir* w nagrodę otrzyma. A mnie się zdaje, że Wiskonti zatrzyma przy sobie swe pieniądze, gdyż ptaszkowie, których złowić zamyśla, już dawno zapewne są za górami.«

»Czy tak? Z kądże wam to wiadomo?« zapytał Antonio widocznie rozweselony.

»Mówią powszechnie, że książę Werony umknął do Niemiec«, odrzekła stara. — »Wszelako —« dodała po niejakiéj chwili milczenia—»wypadek ten zmartwi bardzo Medyjolańczyka, i dla tego nie najlepiéj obszedłby się z stronnikami swego przeciwnika, jeźliby się w jego ręce dostali. Jeżeli panowie do nich należycie, radzę wam, abyście tu aż do rana zostali, a synowie moi za małą zapłatę odprowadzą was w góry, gdzie nietylko będziecie bezpiecznymi, ale nawet za ich pośrednictwem przewodników do Sieny znajdziecie.«

»My nie należymy wprawdzie do tych ludzi, o których mówicie«, rzekł Antonio, gdy stara umilkła; »lecz ponieważ gościńce publiczne przepełnione są wojskiem medyjolańskiém, przeto mogą być niebezpieczne dla samotnych podróżnych; a że twoi synowie, jak mówisz, mają przybyć nad rankiem i mogliby nam pokazać drogę—«

»Ja na żaden sposób nie zezwolę mój przyjacielu, abyśmy tu dłużéj bawili!« odezwał się Leoni nie dając księciu dokończyć mowy. »Już niedaleko do granicy, a z tamtąd znam już drogę.«

»Chcecież się śród tak wielkiéj burzy puszczać w drogę?« rzekła stara z żywością. — »Posłuchajcie tylko, jak wichr w około chaty szumi, a dészcz strumieniem leje. — A potém przeprawa przez góry! Gdybyście panowie znali tę drogę, pewniebyście ani pomyśleli pod noc się puszczać; po prawéj i po lewéj ręce same przepaście.«

»Jakoś to pójdzie, my jesteśmy do takich przygód przyzwyczajeni«, rzekł Leoni, poglądając z niespokojnością na broń w kącie stojącą.

»Ejże, proszę was, pozostańcie! Niech przynajmniéj dészcz cokolwiek ustanie«, rzekła stara coraz z większém naléganiem. »Przepadliście niezawodnie, jeźli się teraz w dalszą podróż puścicie. Może też i moi synowie wcześniéj niż nad rankiem nadéjdą.«

»Toż dopiéro teraz na tę myśl wpadłaś? Wszakże piérwéj mówiłaś, że oni na wszelki przypadek przed świtem nie powrócą?« rzekł Leoni ostro, poglądając na księcia wzrokiem pełnym znaczenia.

»Być może, żem to mówiła«, przerwała mu stara mowę, »gdyż synowie moi zasiadłszy przy dzbanie wina, czasem się aż do rana zapóźniają, ale dziś jestem pewna, iż wcześniéj powrócą; już tylko co ich nie widać; są to bardzo poczciwe dzieci, kochają swoję matkę, i nie dadzą jéj długo na siebie czekać.«

Antonio wyszedł tymczasem za drzwi dla przekonania się, poczém znowu powrócił.

»Straszna zawierucha na dworze!« rzekł wszedłszy do izby. »Mnie się zdaje, iż nam tu aż do rana wypocząć potrzeba.«

»Na żaden sposób nie zostaniemy tutaj, zacny mój przyjacielu!« odparł Leoni mocno. »Zaraz za granicą znajdziemy jaką gospodę i tam wypoczniemy.»

»Przyznam ci się, że tak jestem strudzony, iż jednéj mili ujść nie zdołam«, rzekł Antonio.

»Gospodyni, czy nié masz jakiego posiłku, napoju, wina, kawałek chleba lub co podobnego dla mego przyjaciela?« zapytał Leoni.

»Najlepszym posiłkiem byłby sen przez kilka godzin. Jabym panom radziła, ażebyście się rozgościli, a ja tymczasem zgotuję wam jaką polewkę — a jeżeli się nie mylę, będzie w dzbanie jeszcze także cokolwiek wina, które mój Paolo zostawił — to was pokrzepi, a tymczasem może moje dzieci nadejdą.«

»Nie, nie!« odrzekł Leoni z żywością. »My tu nie zostaniemy. — Lecz spomniałaś, że masz wino. Dajże nam, a to masz w nagrodę.« To rzekłszy, rzucił pieniądz na ławę.

No, kiedy już na żaden sposób pozostać nie myślicie, więc wam dam, wprawdzie nie dużo, ale bardzo posilnego napoju; jestto prawdziwe wino *Montepulciano*, które nieboszczykowi memu Andrea niegdyś tak smakowało, iż przez pijaństwo nawet ze świata zeszedł.«

To rzekłszy, otworzyła starą skrzynię, i szukając po niej przez czas niejaki, wydobyła nareszcie gliniany kubek, i nalała weń wina z dzbanka, który stał za jéj łóżkiem.

»Oto, szkosztujcie panie«, rzekła do księcia podając mu kubek do ręki. »Niech wam służy na zdrowie.«

Książę wychylił połowę kubka, a resztę podał swemu polubieńcowi.

»Wino to ma jakiś smak nieprzyjemny!« rzekł rycérz napiwszy się. »Nieboszczyk twój Andrea był osobliwszego gustu, kiedy w takiém winie miał upodobanie; jabym nie mógł się do niego przyzwyczaić.«

»Kto wie, kto wié!« rzekła stara chychocąc się. »Mój Andrea pijąc, podobnież nie spodziewał się, że je potém lubić będzie. — Widzisz kochany panie, wino to jest prawdziwe *Montepulciano*, trąci cokolwiek ziemią, i jest dla tego, co go za dużo pije, prawdziwe *Memento mori* — tak mówił nasz ksiądz proboszcz, gdy biédnego Andrea ziemią przesypywano.«

Stara nalała jeszcze raz po kubku gościom swoim, a Leoni zaczął utrzymywać, iż za powtórném posileniem się, nie czuł już przykrego smaku. Ale gdy wspomniał o potrzebie oddalenia się, Antonio prosił go, aby jeszcze chwilkę zaczekał, gdyż czuje, że go jakiś zawrót głowy opanował.

Na te słowa czemprędzéj zerwała się stara z swojego miejsca. »Przyniosę panu z blizkiego zdroju świeżéj wody, która pragnienie gasi i wapory wina przytłumia!« rzekła z pośpiechem i wyniosła się z izby.

»*Per Dio!*« krzyknął Antonio. »Ja czuję się być bardzo słabym, już nie widzę żadnego przedmiotu, jakaś mnie ciemność ogarnia.«

»I mnie toż samo«; rzekł Leoni ocierając sobie pot z czoła. »Na mnie biją mdłości. — Może to wino....«

Rycérz jeszcze nie dokończył swéj mowy, a już Antonio spadł z krzesła.

»*Madonna!*« zawołał Leoni i chciał powstać, ale téjże saméj chwili zaczął się podobnież chwiać i upadł obok swojego pana. — Nadaremną była wszelka usilność powstania z miejsca, nie minęło pół godziny, a obadwaj skonali. Tu drzwi się odchyliły, a kilka dzikich, zbójeckich twarzy, zaglądnęło wytrzeszczonemi oczyma w chatę, między niemi uśmiechnęła się przeraźliwie twarz czarownicy z Sabioncello, a po chwili milczenia rzekła głosem chrapliwym, głosem piekielnym: »Zemściłam się! — Paolo! — Pójdziesz do Medyjolanu po wyznaczoną nagrodę!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 17. i obejmuje: 1) Prawo zbożowe angielskie i kraje rolnicze. 2) Prawidła służące do zachowania owiec od niszczących chorób stowrzodu, puchliny wodnej i motylicy. (Ciąg dalszy). 3) O suszarniach (łasach) słodowych w browarach. 4) Jeszcze jedna recepta zachowania futer od moli. 5) Środek zaradczy przeciw wołkom. 6) Wiadomości czasowe.

W Wilnie rozpocznie się wkrótce druk piérwszego tomu: *Pielgrzymki do Ziemi Świętéj*, ks. Hołowińskiego, który także wydać zamyśla: *Bibliotekę Ojców kościoła*. — Pracowite dzieło Narbutta: *Dzieje Litwy*, już jest na ukończeniu. — Aleks. Przeździeckiego: *Próby dramatyczne polskie* (Wilno roku 1841) zawiérają: 1) *Halszka z Ostroga*, dramat historyczny w 5 aktach. 2) *Kapitalik*, komedyja we dwóch aktach, ze znanéj powieści Jadama, która dawniej była w *Rozmaitościach* umieszczoną. Dramat o *Halszce* po p. Kraszewskim obrobił autor zupełnie w innym sposobie. U niego Dymitr Sanguszko kocha się w Halszce, i szczegół ten oparł autor na powadze Kojałowicza. Lubo dramat pana Przeździeckiego nie ma tak jenijalnego jak *Mołnija* (w *Halszce* p. Kraszewskiego) charakteru, miło jednak się czyta i może milej jeszcze byłby widziany na scenie. Jakoż zachęcamy teatra polskie, by niezaniedbały korzystać z obu sztuk umieszczonych w *Próbach dramatycznych*, bo zaiste nie jesteśmy tak bogaci, byśmy przerzucać mogli, a gorliwa o zwrost własnéj literatury publiczność, z większą wdzięcznością przyjmie dzieło oryginalne, niżli jakiebądź tłumaczenie.

Doktorowi Raciborskiemu, przyznała królewska medyczna akademija w Paryżu dwie nagrody, jednę dla niego samego, drugą wspólnie z doktorem Brière de Boismont. — Profesor oftalmologii tamże, pan Wiktor Szokalski, wydał dzieło medyczne: *Essai sur le sensations des couleurs dans l'etat Phisiologique de l'oeil.*

Dr. Karol Libelt, znany z kilku treściwych artykułów w pismach poznańskich, ogłosił w Poznaniu kurs publiczny literatury niemieckiéj dla płci obojéj, który w języku polskim wykładać będzie.

Pogrzeb Aleksandra Wielkiego. Sprowadzenie zwłoków Napoleona z wyspy Świętej Heleny do Paryża, przywołuje w pamięć podobny w dziejach świata przechowany wypadek, który pod każdym względem okazalszym być się wydaje. Gdy Aleksander wielki, król Macedoński, umarł w Babilonie, jeden z poddowódców jego Archidaeus, jak opowiada Diodor Sycylijski (18,3) otrzymał od Perdykasa zawiadowcy państwa zlecenie, aby zwłoki zmarłego króla z Babilonu do Egiptu sprowadził i takowe w świątyni Ammona złożył. Obszérne opisanie tego uroczystego obchodu zawarte w trzech rozdziałach (26—28) należy odczytać w pismie Dyodora Sycylijskiego, gdyż miejsce nie dozwala, aby je całkowicie tutaj umieścić. Dla okazania jednak w krótkości, z jakim przepychem się ten obchód pogrzebowy odbywał, nadmienimy tylko, że Archidaeus potrzebował prawie dwa lata na samo przysposobienie się ku temu, mianowicie na zrobienie wypukłą robotą złotej trunny z takiémże samem wiekiem, którą piękny złotem haftowany purpurowy całun okrywał, jako też na ogromny, drogiémi kamieniami wysadzany i najkosztowniejszemi figurami i rzeźbami przyozdobiony, od sześciudziesiąt i cztérech złotem i klejnotami ustrojonych mułów ciągniony rydwan, mający ośm łokci szerokości a dwanaście długości. Za tym rydwanem postępował odpowiedni pogrzebowej okazałości orszak, to jest liczny zastęp wojska, a Ptolomeusz władca Egiptu w towarzystwie niezliczonego ludu wyszedł naprzeciw niemu aż do Syryi, tam odebrawszy zwłoki Aleksandra okazał

im najwyższe uwielbienie przezto, że je nie w świątyni Ammona lecz w założonem przez Aleksandra mieście Aleksandryi złożyć i tamże taki pomnik wystawić kazał, który co do wielkości i budowy sławie Aleksandra godnie odpowiadał.

Barometer wybawcą. Kapitan Oldrey, dowódca szalupy wojennéj *Hyacinth*, znajdował się dnia 10. sierpnia 1831 r. na wysokości morza niedaleko portu Barbados. Niebo było przez cały dzień tak spokojne i czyste, a wieczór był tak pogodny i cichy, że widok ten prawdziwą rozkosz sprawiał. Kapitan przypatrywał się czas niejaki kryształowéj przestrzeni morza i błękitnemu niebu, poczém oddaliwszy się z pokładu wszedł do kajuty i położył się na sofie. Obok téjże wisiał barometr, na który spojrzawszy, z zadziwieniem spostrzegł, iż słup żywego srébra stał bardzo nizko, a przeto z temperaturą i pogodą, jaka w téj chwili panowała, zupełnie się nie zgadzał. Po upływie minut kilku spojrzał znowu, ale barometr opadł jeszcze niżéj. Z tego powodu wyszedł na pokład, a widząc ciągle najpiękniejszy i najpogodniejszy wieczór, który barometrowi zdawał się zadawać kłamstwo, nie mógł inaczéj sądzić, jak tylko iż żywe srebro we szkle albo się wstrząsło — albo że osłabło i usnęło, podobnie jak organiczna istota, która wysilona, pod noc spoczynku używa. Jednakże niebawem ocknęło się w nim znowu zaufanie w metalowego proroka, który na żaden sposób oszukiwać nie może, i z niesłychanego spadnięcia merkuryjuszu, zaczął wnosić, iż się w naturze na coś nadzwyczajnego zanosi. Poczém przywoławszy pierwszego porucznika okrętu, oznajmił mu swoje meteorologiczne spostrzeżenie i obawę. Porucznik i sternik byli tego zdania, iż barometr podobno czasami miewa swoje dziwactwa, gdyż na całym widokręgu najmniejszego znaku zbliżającéj się burzy widać nie było. Z tém wszystkiém kapitan wydał rozkaz, aby majtkowie niezwłocznie poczynili wszelkie przygotowania, jakie tylko podczas największéj burzy są potrzebne. Oficerowie i osada wykonali wprawdzie ściśle ten rozkaz, ale odzywali się częstokroć z tą uwagą, że się panu kapitanowi zapewne burza przyśniła, i że im tę pracę, tylko dla zabawy swojéj, na poty zadał. Lecz skoro tylko majtkowie ukończyli robotę, już żywioły inną postać przybrały. Najprzód w górném powietrzu zerwał się wicher, który szumiąc i rycząc straszliwie, ani musnął morza, jednakże niedługo trwało, a już spuścił się na dół i dął, huczał i srożył się z taką wściekłością, iż się zdawało, jak gdyby chciał wszystką wodę z ogromnego łożyska wyruszyć i całą głębię morza odsłonić. Bałwany wzdymały się aż pod obłoki, i wracały w bezdenną przepaść, a z chmur śród gromu piorunów lały się siarczyste płomienie. Gdyby szalupa była pozostała w pierwotnym stanie, jużby od pierwszego razu w otchłaniach morza zagrzébaną została; lecz przez przedsięwzięte środki i zabiegi rozsądnego kapitana wyszła zwycięzko z okropnéj walki, która najmniéj dwie godzin trwała.

Scena przed sądem w Paryżu. Prezydent: »Mości Valnoy, waćpan się nieprzyzwoicie na pikiecie zachowałeś?« — Valnoy: »Jako, Mości prezydencie? Może dla tego, żem się nieustannie mydlił? Którytzo artykuł konstytucyi, mydlić i myć się zabrania?« — Prezydent: »Przy łuku tryjumfalnym stojąc na straży, zrobiłeś wpan z siebie pośmiewisko.« — Valnoy: »Aha, teraz wiem o co chodzi, pan prezydent chcesz powiedzieć, że na twarzy byłem czarny jak Murzyn. Wyznaję, każdy mógł mnie mieć za kominiarza; twarz moja świeciła się jak angielskie czernidło.« (Śmiéch). — Prezydent: »Obywatel, który ma zaszczyt należéć do konnéj gwardyi narodowéj, z obmytą twarzą na pikietę występować powinien.« — Valnoy: »Wszakże trzykrotnie myłem się na pikiecie; alboż moja w tém wina, że się obmyć nie mogłem? Chcecież panowie, abym się był jak kura oparzył?« — Prezydent: »To do rzeczy nie należy.« — Valnoy: »I owszem; należy panom wiedzieć, że ja się czarnym nie urodziłem. Lecz pierwéj pozwól mi pan prezydent jedno pytanie: co jest dla każdego jeźdca najgłówniejsza potrzeba?« — Prezydent: »Aby jezdzić umiał.« — Valnoy: »I owszem przeciwnie — aby miał konia. (Śmiéch). Otóż ja go miałem; kupiłem sobie u pewnego Normandczyka klacz siwą za sto talarów. Było to zwierzę paradne, co zaświadczyć może trębacz naszego szwadronu, bo ona go trzy razy w dwóch miesiącach zrzuciła. (Śmiéch). - Tego konia zatrzymać musisz, pomyślałem sobie: nie jest on wprawdzie bez wady, ale cóż na tym świecie jest doskonałego! Otóż przyzwyczaiłem się do niego; ale ten niewdzięcznik ucieka mi ze stajni.« — Prezydent: »Dowiedziałżeś się wpan z jakiego powodu?« — Valnoy: »Dowiedziałem się, ale nie zaraz. Gdyby ten koń był człowiek, byłbym sobie pomyślał, że tu zachodzi jaki stosunek miłosny, albo że go za długi do kozy wsadzono. Koniec końcem, musiałem sobie szukać innego konia. Idę przeto znowu do mego Normandczyka, opowiadam mu mój przypadek; ten ubolewa nad moim losem i nastręcza mi drugą szkapę. Oglądam ją i widzę, że jest piękna i jak kruk czarna. Maść ta podobała mi się lepiéj niżeli siwa, bo nie tak się brucze (śmiéch), słowem, płacę za nią 250 franków, i każę ją sobie wieść natychmiast do stajni, bo nazajutrz miałem jechać na wartę. Skoro świt, każę ją siodłać, głaszczę ją i siadam po rycersku, jak przynależy. Wyjéżdżam, przypadkiem musnąłem się ręką po twarzy i uczułem, że coś jest lipka. Spojrzę, i widzę, że jest tak pięknie czarna, że aż się połyskuje; zsiadam z konia i umywam się co żywo. W kwadrans potém staję na straży i dziwię się mocno, że ktokolwiek przechodzi, zaraz się ze mnie śmieje. »A to jakiś Hotentota!« rzekł jeden. — »Teraz mamy zapusty«, ozwie się drugi. Dragon, który razem ze mną stał na pikiecie, spojrzał na mnie i rozśmiał się na całe gardło. Zapytałem go, coby na mnie tak śmiesznego widział? Ten dobywszy z kieszeni zwierciadła, kazał mi w nie spojrzeć; usłuchałem go, ale cóż obaczyłem? Oto czarną maszkarę!« (Śmiech). — Prezydent: »Ale jakżeś wpan przyszedł do téj czarnéj farby?« — Valnoy: »Byłbym długo nie wiedział jak, gdyby mi szczęśliwy przypadek w pomoc nie był przyszedł; oto w téjże samej chwili nadszedł nasz trębacz szwadronowy, a koń wierzgać zaczął.« (Śmiéch). — Prezydent: »I cóż to dowodzi?« — Valnoy: »To dowodzi, że mnie okradziono, że mój kary, był moim siwoszem, który trębacza nie cierpiał i który z mojéj stajni do swego Normandczyka zdezerterował, a że tenże dla jego wierzgającego przymiotu, nikomu go już sprzedać nie mógł, więc go na karo-gniadego przerobiwszy, znowu mi go sprzedał; jednakże czarna maść mu się nie powiodła, bo puszczała.« (Śmiéch powszechny). — Prezydent: »Uniewinnienie się wpana nie zdaje się być do prawdy podobném.« — Valnoy: »Dla tego zapewne, że jest samą szczérą prawdą.« Prezydent uśmiechnąwszy się, napomniał go i uwolnił od kary.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.